

Joanna Morea

Przez rajskie wyspy na dach świata

Azja, Australia i Oceania



Joanna Morea

**PRZEZ RAJSKIE
WYSPY
NA DACH ŚWIATA**

AZJA, AUSTALIA I OCEANIA

© Copyright by Joanna Morea & e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo
Grafika na okładce: Dream79 (Envato)
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN e-book: 978-83-8166-168-3
ISBN druk: 978-83-8166-169-0

Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2021

CZĘŚĆ 1. Polinezja Francuska



Rozdział 1

Na całe osiem godzin i dwadzieścia minut oddaję się przestrzeni powietrznej. Tyle trwa przelot z Los Angeles do Papeete, stolicy przecudownej wyspy Tahiti. Jestem jakieś kilkanaście tysięcy metrów ponad Pacyfikiem. Podczas lotu często zasypiam, osuwając się w fotelu. Czasem jednak dokonuję w myślach przeglądu ostatnich wydarzeń. Staram się niczego nie oceniać, tylko czerpać możliwie jak najwięcej nauki z własnych przeżyć, nie wplątując w to emocji. Nie jest to łatwe zadanie, bo nocny przelot skłania do przemyśleń, a te głównie krążą wokół mnie i mojego partnera podróży. Równie często, a może nawet częściej nocny lot jednak otępia i zniewala do snu.

Wciąż jestem bardzo osłabiona po dopiero co przebytej w Meksyku salmonelli. W mojej głowie przewijają się bardzo żywe obrazy z kliniki. Twarze zainteresowanych mną meksykańskich lekarzy, którzy kręcili się wokół mnie bezustannie – to znaczy tak mi się wydawało, bo za każdym razem, kiedy się budziłam, widziałam ich przy swoim łóżku. Wyglądało na to, że nieźle ich nastraszyłam.

Po sześciu miesiącach włączęgi po drogach i bezdrożach Ameryki Łacińskiej nic już nie jest takie samo. Zmieniło się moje postrzeganie świata. Nigdy już nie będę tą samą osobą, jaka wyruszyła w tę niezwykłą podróż. Wszystkie doznania, przeżycia, przygody czy ich brak sprawiły, że na każdy aspekt życia na Ziemi patrzę zupełnie inaczej. Lepiej czy gorzej? Mądrzej, bardziej wnikliwie czy powierzchownie? Trzeźwiej czy na fali zaślepiających czasem emocji? Tego nie potrafię ocenić i nawet nie chcę. Jedno jest pewne – jestem inna.

Zmiany zewnętrzne widać gołym okiem. Nie trzeba mnie testować psychologicznie, żeby je zauważyć. Ameba, potem salmonella zamieniły mnie w wychudzoną i chyba mało atrakcyjną kobietę. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy, trochę zbyt słaby błysk w oku. Przy moim wzroście 172cm i wadze ledwie powyżej pięćdziesięciu kilogramów nie prezentuję się obecnie najlepiej. Nawet nie byłabym atrakcyjną modelką. A jednak mimo to dźwigam swój ponad dwudziestokilogramowy plecak z tyłu i około siedmiokilogramowy z przodu. I robię to z ochotą, trochę to zbyt dla mnie męczące obecnie, ale to nie jest takie ważne – najbardziej istotne jest to, że za chwilę postawię stopy na cudownych polinezyjskich wyspach. One mają mnie uleczyć, mają sprawić, że wydobrzeję. Stuprocentowa naturoterapia. Moje niewykupione recepty, które dostałam przy wyjściu z kliniki, pozostały gdzieś w jednym z meksykańskich koszy na śmieci. Klamka zapadła. Nie ma odwrotu. Tu, w sposób naturalny, bezinwazyjny, mają powrócić mi siły i mam wyzdrowieć. Bez tego

moja podróż będzie musiała się zakończyć. I ta właśnie wiara w szybkie wyzdrowienie obecnie mnie nie opuszcza, a nawet więcej, jestem pewna, że tak będzie. Zresztą, cóż innego mogę teraz zrobić? Nic. Wszystko w rękach Wszechświata i Boga, jak mawiała moja babcia.

Łądujemy w cudownym, wymarzonym Papeete o drugiej nad ranem. O tej chwili marzyłam od dziecka. Tahiti, wyspa, która rozpala wyobraźnię, miejsce, do którego nie każdemu udaje się dotrzeć. Niewiarygodne, ale to kolejne z moich wielkich marzeń, które tu i teraz właśnie się spełnia.

Jest środek nocy, a mimo to, kiedy opuszczamy samolot, bucha w nas gorące, wilgotne, oceaniczne powietrze. Przy wejściu do terminalu piękna, młoda, czarnowłosa Tahitanka uśmiechając się promieniście, jakby chciała oszukać siebie oraz nas i udawać, że to nie jest środek nocy, wręcza nam nieduży, kremowobiały kwiat o mocnym, urzekającym zapachu. To gardenia tahitańska. Symbol wyspy Tahiti, kwiat uczuć mający wyrażać miłość. Na całym świecie znany jest pod nazwą Tiare Tahiti – kwiat Tahiti.

Wkładam kwiat we włosy. Czarująca Tahitanka uśmiecha się do mnie.

– Witamy na Tahiti!

Wychodzimy poza nieduży hall przylotów. Jest tu cicho i spokojnie, niemal kameralnie. Czarne niebo otula wyspę, a wraz z nią także nas. Wszystko wokół wydaje się być uspięne. Z nami przyleciało tu raptem kilkoro pasażerów. Bardzo szybko gdzieś zniknęli. Większość pozostała w samolocie i kontynuuje swoją podróż do Nowej Zelandii, a my jak zagubione istoty stoimy sa-

motni ze swoimi plecakami i nie bardzo wiemy, co ze sobą zrobić. Siadam na jednej z pustych ławek. Powietrze jest przyjemnie rozgrzane. „I co dalej?” – myślę. Mój partner przysiada obok mnie.

– Jaki masz plan? – zagaduje mnie ospale.

– Nie mam żadnego – odpowiadam obojętnie.

Nagle drzwi się rozsuwają i pojawia się podobna do nas samotna para obciążona plecakami. Kobieta trzyma w ręku książkę. Rozpoznaję, że to przewodnik Lonely Planet. Pozdrawiają nas skinieniem głowy.

– Przepraszam – zaczepiam ich natychmiast. – Czy można zerknąć? – pytam, wskazując książkę.

– Jasne – odpowiadają chórkami.

– Nie zdążyłam kupić żadnej publikacji o Tahiti – tłumaczę.

– Nie ma sprawy, a skąd jesteście?

– Z Polski.

– Wow, to koniec świata! – dziwi się. – To ile lecieliście?

– Nie wylecieliśmy z Polski, jesteśmy w podróży dookoła świata i właśnie przybyliśmy tu z Meksyku przez Los Angeles.

– Wow, prawdziwi traperzy! – spontanicznie dziwi się dziewczyna. – A może wybierzcie się z nami na sąsiednią wyspę, na Moorea. Papeete jest zwyczajnym miastem, nie ma tu nic atrakcyjnego. Moorea jest za to znacznie ciekawsza. Wszyscy ze stolicy jeżdżą tam odpoczywać. Tahitański cel wakacyjny, rozumiecie?

– Dla mnie to świetny pomysł – odpowiadam błyskawicznie. – Mam na imię Joanna.

Natychmiast czujemy się bardzo dobrze w swoim towarzystwie. Według ich wiedzy musimy poczekać kilka godzin do pierwszego autobusu, którym dojedziemy na przystań, skąd promem zabierzemy się na wyspę. Tak też robimy. Niemal jak czwórka rozbitków, porozkładani w pozycjach leżąco-siedzących opowiadamy sobie swoje historie przez najbliższe prawie cztery godziny. Nowo poznani pochodzą z Kanady. Obydwoje są płetwonurkami i przylecieli na Polinezję, żeby zarabiać na wylławianiu perł na plantacjach. Jednak najbliższe dwa do trzech tygodni zamierzają korzystać z uroków polinezyjskich i rozpocząć tutejszą przygodę od wakacji, a nie od pracy.

Pierwszy prom odpływa po szóstej rano. Wsiadamy na pokład niezwykle podnieceni i rozgadani. Kiedy nasz środek transportu oddala się od kei, moje oczy zatapiają się w błękicie wody. Milknę. Ogarnia mnie zaduma. Czuję się taka po brzegi wypełniona szczęściem, że aż boję się to szczęście sobie uświadamiać.

Nad Mooreą wiszą szare chmury. Powietrze przesiąknięte jest oceaniczną wilgocią, która natychmiast przenika moje włosy i skórę. Poranna szarość jest niezwykle nastrojowa. Wciągam głęboko powietrze. Jest orzeźwiająco morskie i pachnie algami. Spoglądam na daleki szary horyzont. Najbliższy kontynent jest bardzo daleko stąd. Potem mój wzrok przyciągają zielone ramiona wyspy. Im bliżej dopływamy, tym mniej chmur zwisa na jej ramionach. Gdzieś się rozplývają. Po godzinie wpływamy do małej zatoki. W milczeniu stawiam pierwsze kroki na zjawiskowej wyspie. „Witaj, Moorea” – szepczę.